TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II, Nr. 23 /31/   151 East 67 Street, New York, N.Y.   4.VI. 1942

Grossraumowe kwadraty na mapach prof. Rennera.

P. George T. Renner, profesor geografii na uniwersytecie Columbia, ogłosił w numerze Coliers z dnia 6 czerwca, ilustrowany mapami artykuł, zawierający konkretny projekt terytorialnego podziału świata po wojnie.

Artykuł prof. Rennera winien nosić tytuł:- Jak nagrodzić Niemcy, Włochy i Japonię za agresję i za wszystkie zbrodnie popełnione w czasie obecnej wojny.

Tak jest: nagrodzić! Bo w odpowiedzi na pytanie jak urządzić i jak podzielić świat po wojnie odpowiada profesor Renner planem, którego istotną cechą jest... znaczne powiększenie posiadłości Niemiec, Japonii i Włoch.

A więc, do wielkiego imperium, które prof. Renner nazywa niemiecko-węgierskimi Stanami, włącza on: część Szwajcarii, część Belgii, Luxemburg, Alzację, Sudety, polskie Pomorze, część Poznańskiego, a w dodatku olbrzymie posiadłości kolonialne w Afryce, złożone z Konga Belgijskiego, portugalskiej Angoli, brytyjskiej północnej Rodezji i Gubonnu.

Włochy otrzymują w darze od profesora Rennera Dalmację, Tunis, Korsykę, Niceę i poważne "zaokrąglenie" kolonij w Afryce.

Japonii dla otarcia łez po wojnie profesor geografii oddaje wspaniałomyślnie wszystkie posiadłości na obszarze olbrzymiego, wykreślonego przez siebie "morza japońskiego".

Projekt tych niezwykłych premij za agresję uzasadnia prof. Renner tym, że podział terytorialny świata dokonany został na konferencji wersalskiej przez amatorów politycznych i dlatego obecnie powinni urządzić i podzielić świat ludzie nauki, na podstawie gruntownej znajomości narodów, języków, kultur, zagadnień gospodarczych, historii i istotnych przewag.

W imię tych "istotnych przewag" i w imię nauki prof. Renner chce n.p. oddać Niemcom Poznańskie i Pomorze, prapolskie ziemie, posiadające około 90 pr. ludności polskiej, kulturalnie językowo i gospodarczo najistotne i od X wieku polskie i z Polską związane. Ze zwykłą sobie szczodro-

bliwością oddaje równocześnie p. Renner całą wschodnią połowę Polski - Rosji, która ma otrzymać również znaczną część Chin. Jakie "istotne przewagi" nakazały p.Rennerowi pozatym oddać Niemcom Alzację, Belgię i Szwajcarię, Włochom znaczną część Jugosławii, nie sposób byłoby odgadnąć, gdyby sam autor nie odsłonił nam rąbka tajemnicy, powołując się na zasady "geopolityki".

Otóż geopolityka, stworzona przez Niemców nie jest żadną nauką, a po prostu instrumentem imperializmu politycznego. Teoria geopolityki nazistowskiej ma właściwości gumy i da się naciągnąć do każdego planu politycznego. W ciągu ostatnich 6 lat niemiecka geopolityka - zależnie od zamiarów politycznych Hitlera - "naukowo" uzasadniała najpierw plan wielkich autarkicznych Niemiec, później środkowo-europejską przestrzeń gospodarczą, Eurafrykę, Eurazję... wszystko.

Zawsze chodziło tylko o to, by żarłoczność niemieckiego Gargantui upozorować quasi-naukowymi wywodami. Z tej quasi-naukowości narodziła się niemiecka koncepcja "Grossraumu".

Aby uczynić ją milej wpadającą w uszy Niemcy uzasadniają tę koncepcję tym, że: Przyszły porządek świata nie powinien opierać się na zasadzie suwerenności 50 czy 60 wiecznie ze sobą kłócących się państw i państewek. Trzeba przejść na zasadę wielkich formacyj politycznych i gospodarczych, które zapewnią światu równowagę.

I oto, okazuje się dziś, niestety, że teoria "Grossraumu", skonstruowana dla uzasadnienia agresji i imperializmu, z niepojętych powodów znalazła drogę do mózgu amerykańskiego profesora. Bo czymże innym jest, naiwny zresztą i pozbawiony wszelkiej poważnej argumentacji plan prof. Rennera, jak nie naśladowaniem teorii grossraumowej?

Totalizm, tak samo, jak z jednostki ludzkiej chce zrobić niewolnika-robota, tak życie narodu pragnie zmieścić w mechanicznie wykrojonych kwadratach, czyli olbrzymich obozach koncentracyjnych nazwanymi grossraumami, nie liczącymi się ani z językiem i kulturą, ani z historią, ani z dążeniami i ideami żywych narodów.

Że takie są obyczaje i metody totalizmu - to zrozumiałe. Ale jak doszło do tego, że totalistyczną metodę planowania przyszłości świata w ramach grossraumowych kwadratów przejął profesor uniwersytetu Columbia, występując równocześnie z planem premij za agresję dla państw Osi?

Na pytanie to nie znajdujemy odpowiedzi i dlatego ograniczamy się narazie do stwierdzenia, że mapy prof. Rennera w wielu istotnych szczegółach są podobne do map Hitlera, Mussoliniego i Hirohity.

Stanisław Strzetelski

D w a   c i e n i e.

Wśród książek polskich, których tak niewiele można już odnaleźć na coraz bardziej pustych półkach u pana Opalińskiego albo w paru księgozbiorach polskich w Nowym Yorku, trafiłem szczęśliwie na parę wcześniejszych prac Szymona Askenazego, jednego z najdroższych mi tych, którym najwięcej zawdzięczam,jednego też z obiektywnie największych naszych pisarzy.

Wyspiański, który pojmował literaturę jedynie jako najwyższe uniesienie uczuć i myśli, któremu nawet "Pan Tadeusz" wydawał się przez gadatliwość Wojskiego drażniący i który we współczesnej mu literaturze

niewiele znajdował dzieł godnych swego zachwytu, poświęcił przecież wspaniałą stronnicę swej prozy "Księciu Józefowi" Askenazego, zachwycając się sposobem, jedynie jego zdaniem godnym i wielkim, w jaki autor przedstawił swego bohatera.

Nie pamiętam już jacy mistrzowie historii ukształtowali metody naukowe prof.Askenazego, kto go uczył czytania dokumentów tak aby nieomylnie wiedzieć dlaczego tak a nie inaczej były napisane, czy miały służyć do wydania czy ukrycia prawdy, w czego odgadywaniu był Askenazy mistrzem; niezbyt znane mi są stopnie zależności jego od jego profesorów, miara postępu, jakiego dokonał w stosunku do swych poprzedników - wiem przecież, że jako człowiek, jako Polak był on dzieckiem naszej Wielkiej Poezji, jednym z tych, którzy uczyli się z czynów księcia Józefa czem jest Polak, z poezji Mickiewicza - czem jest Polska.

Trudno byłoby banalnie i sentymentalnie powiedzieć o nim cytatą z Mickiewicza: "Żyd poczciwy, ojczyznę tak jak Polak kochał".

Profesor Askenazy, "Profesor" - jakeśmy go wszyscy bliscy mu nazywali, nie był bynajmniej "poczciwy": pełen zachwytu i odczucia dla każdej wielkości był on bezlitosny i szyderczy względem wszystkiego co małe niskie, fałszywe.

I nietylko jak Polak, ale więcej, goręcej niż niejeden leniwego ducha Polak, z jakąś wschodnią pasją, jakby z poczuciem, że musi własną zasługą dorobić, czego w tradycji nie dostał, z jasnowidzeniem wielkości Polski, z nieustanną wizją potęgi naszego państwa uwielbiał on Polskę jak nasi wielcy romantycy, wielcy mężowie stanu, wielcy żołnierze i on, który znał i rozumiał całą Europę, który rozmawiał jak równy z najświetniejszymi ludźmi zagranicy - jedną miał tylko dumę: że jest Polakiem, jedno tylko pragnienie: służyć Polsce.

Jego styl polski nierówny, bo nieraz musiał go tłumić wobec potrzeb szczegółowego wykładu, raz po raz wznosił się na szczyty dostępne tylko największym mocarzom naszego języka, stawał się sztuką równą dziełom poetów.

Wstęp do arcydzieła Askenazego "Przyczyny wyprawy do Moskwy", które teraz znów przeczytałem w "Dwu stuleciach" należy do wielkich kart naszej literatury, ma patos Sienkiewicza, ale jakby mniej teatralny, bardziej dramatyczny, bardziej Szekspirowski, poprostu niema dla niego porównań, jeśli chodzi o natchnienie, majestat języka, wyczucie wielkości. Albo w tych samych "Dwu stuleciach" opis konszachtów umierającego zapitego Augusta Sasa z ministrem pruskim Grumbkowem, albo ów artykuł, który niedawno "Skarbnica" "Wiadomości Polskich" przedrukowała z "Uwag", wskazujący nam raz na zawsze jedyną wśród politycznych wahań drogę rozumu, odwagi i honoru, albo "śmierć księcia Józefa", która choć stała się już stronnicą antologii niezmiennie nas porusza prostotą, dyskrecją a zarazem powagą i rozdzierającą poezją stylu!

Słowo "mocarstwowiec" najczęściej brzmiące tak śmiesznie, odzyskiwało całą swą powagę, zastosowane do Profesora, bo on naprawdę nie chciał się zadawalać pozorami potęgi Polski, nie łudził się żadną propagandową tromtadracją, on chciał Polski naprawdę wielkiej duchem i wiedział, że wtedy stanie się ona naprawdę mocarstwem; ciągle żyjąc w naszej wielkiej przeszłości wierzył, że musi ona wrócić w całym blasku Jagiellońskiej wielkoduszności, tak rozumna jak w wieku Oświecenia, tak porywająca, jak w czas Mickiewicza. W tej jego "mocarstwowości" nie było nic ze smarkaczowskiego "gwizdania" na zagranicę i nikt lepiej niż Askenazy nie rozumiał wszystkiego co było piękne i wielkie w Paryżu i w Londynie. Ale on też pierwszy z Polaków, którzy działali zagranicą pojął, że Polska nie jest bezradnem dzieckiem, które ma się trzymać fartucha wielkich mocarstw, że ma ona swe wielkie zadania, które musi wykonać,

[illegible] nie znajdował dzieł godnych swego szacunku, poświęcił przecież [illegible] stronnice swej pracy "Księcia Józefa" Askenazego, scharakteryzował je w sposób, że nie jego zdaniem godnym i wielkim, w jaki autor przedstawił swego bohatera.

Nie pamiętam już jacy miniaturowie historii urągali metody naukowe prof. Askenazego, kto go uczył czytania dokumentów tak aby [illegible] nie dodać [illegible] tak a nie inaczej były napisane, czy miał [illegible] do zdania się na ich prawdę, w czego odgadywaniu był Askenazy [illegible] niemal [illegible] stopnie zależności jego od jego profesorów, [illegible] postępu, jakiego dokonał w stosunku do swych poprzedników - wiem [illegible] jako człowiek, jako Polak był on dziesięciokrotnie [illegible] i [illegible], jednym z tych, którzy rozumieli całe znaczenie kultury [illegible] jest Polska, z pozycji [illegible] - czym jest Polska.

Trudno byłoby bezładnie i sentymentalnie powiedzieć o nim [illegible] "Żyd poczciwy, odczuwający tak jak Polak rodzony".

Profesor Askenazy, "Profesor" - jeżeli go ważący bliscy tak nazywali, nie był bynajmniej "poczciwy", pełen zachwytu i oddania dla każdej wielkości był on bezlitosny i szyderczy względem wszystkiego co małe niskie, fałszywe.

I nie tylko jak Polak, ale więcej, goręcej niż niejeden [illegible] duch Polski, jeśli zachowanie zasady, jakiej z początku, że [illegible] postępu dorobku, czego w tradycji nie dostał, z jednoczeniem wielkość Polski, z niestrudzonej wiary potęgi naszego państwa uwielbiał on [illegible] jak wiele rzeczy, [illegible] na stronie, wielcy [illegible] i on, który znał i rozumiał całą Europę, który poznawał jak równy z największych ludzi zagranicy - jeden raz tylko mógł: że jest Polakiem, jedne tylko wyznanie [illegible] Polsce.

Jego styl polski literacki, bo nieraz musiał go trochę wobec [illegible] [illegible] tak po [illegible] się on [illegible] najpiękniejszych [illegible] naszego języka, stawał się [illegible] [illegible].

Wstęp do [illegible] Askenazego "[illegible]" [illegible] teraz znów [illegible] w "Dwu stuleciach" należy do [illegible] literatury, na [illegible] tak jak [illegible], [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] jeśli chodzi o [illegible], najlepiej [illegible], [illegible] "Dwu stuleciach" [illegible] Ameryka [illegible] [illegible] "[illegible] Polskich" [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] i honoru, albo "[illegible]", [illegible] [illegible] [illegible] nad [illegible] [illegible] [illegible] i [illegible] [illegible].

Słowo "[illegible]" [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] do Profesora, bo on [illegible] nie [illegible] [illegible] Polski, nie [illegible] ale [illegible] [illegible], on [illegible] [illegible] [illegible] i [illegible], że [illegible] [illegible] [illegible], że [illegible] w [illegible] [illegible] przeszłości [illegible], że [illegible] [illegible] [illegible], tak [illegible] [illegible], jak w [illegible] [illegible] "[illegible]" nie [illegible], jak w [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] na [illegible] i [illegible] [illegible] nie [illegible] [illegible] i [illegible] w [illegible] i [illegible], ale [illegible] [illegible] z [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] nie [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible].

których zarówno konieczność dla siebie jak ogólną potrzebę ona jedna naprawdę może ocenić.

Był już oddawna poza czynnością polityczną, rozgoryczony do intryg, które mu uniemożliwiały pracę, już dawno nie był wzywany przez Piłsudskiego, kiedy mi powiedział:"A ja panu mówię, że prawdziwa niepodległość Polski zaczęła się od zajęcia Wilna".

Jak mało czyją łaskawość w życiu ceniłem życzliwość z jaką Profesor, najbardziej kapryśny i trudny człowiek na świecie, dopuszczał mnie do siebie, pozwalając mnie, który nie byłem jego ani naukowym ani dyplomatycznym uczniem, słuchać jego niebywałych monologów, kiedy to pienił się na zmarłych jak na żywych, dla żywych znajdował niebywałe jako pochwała albo szyderstwo porównania z przeszłości i czynił tę przeszłość tak zrozumiałą, jakby działa się dzisiaj. Jak na najpiękniejszą książkę cieszyłem się zawsze na wizyty u Profesora, w czasie których dowiadywałem się więcej nieraz niż z wielu tomów książek o tem, kim byli naprawdę owi dalecy nam ludzie, którzy mieli swe wielkie nazwiska w historii, jak naprawdę wyglądały te wielkie, dramatyczne wypadki, które stały się już niekontrolowaną, nudną, martwą i nieraz nieprawdziwą prawdą historyczną. Miał on wszystkie warunki, aby kłuć sobą w oczy miernoty i fałszywe wielkości: był naprawdę wielkim pisarzem, wielkim historykiem wielkim mężem stanu i we wszystkich ważnych chwilach życia: wielkim panem; uczyniono też wszystko, aby mu nie dać katedry w Warszawie, miejsca w Akademii Literatury i, zabrawszy placówkę dyplomatyczną, nie wykorzystać go nawet w radzie, czyniąc go np. najświetniejszym, o jakim zamarzyć było można, prezesem Komisji Spraw Zagranicznych w Senacie. To też ostatnie lata życia spędził Askenazy jak prawdziwy mistrz, otoczony garstką uwielbiających go uczni wśród których najbliżsi mu byli historycy: Tokarz, Skałkowski, Dzwonkowski, Pawłowski, a ponadto Mirosław Arciszewski i Jerzy Stempowski.

Ostatni raz widziałem go w Paryżu i długo po świetnem śniadaniu które mi Profesor "postawił" chodziłem z nim po Polach Elizejskich,wsłuchany w jego bezładnie cisnące mu się na pamięć a tak niezwykłe wspomnienia. Kiedyśmy mieli przejść na drugą stronę ulicy wziąłem Profesora, przysłowiowego krótkowidza pod rękę, bojąc się, żeby go nie rozjechano. I wtedy usłyszałem od niego słowa pełne zaledwie zamaskowanej żartem melancholii:"I cóżby się stało tak wielkiego? Niktby mnie nie żałował. Może jedna pani Askenazy!".

Kiedym parę dni temu czytał "Przyczyny wyprawy do Moskwy" i wspominałem to wszystko, co Profesorowi zawdzięczam stanęła mi żywo przed oczami ta scena i wraz z nią przyszło wspomnienie o pięknej pani, która tak godnie czyniła honory domu Profesora, tak wykwintną sylwetką rysowała się na tle wielkich salonów świata i do końca życia profesora Askenazego była jego oddaną powiernicą i przyjaciółką. Znana anegdota przypisywała staremu lordowi Balfourowi powiedzenie, które miał rzekomo skierować do profesora Askenazego po poznaniu jego żony:"Mówili mi wszyscy, że Pan Profesor jest sławnie krótkowzroczny. Wcale nie jestem tego zdania."

I otóż parę miesięcy temu doszła nas wiadomość tak podobna do wielu innych, że jakkolwiekby to było okropne -nie mogła nas zadziwić, tyle po niej przyszło innych, równie rozdzierających, że nie mogliśmy się nawet nad nią zatrzymać, zdać sobie sprawy, jak okrutną zawiera prawdę ludzkiego losu! Pani Felicja Askenazy umarła w Warszawie, a uporczywa wieść mówiła, że nie chciała żyć i odeszła w chwili gdy miała iść za mury ghetta.

Teraz dopiero, odkładając książkę prof.Askenazego zdołałem zamyśleć się nad tą wiadomością, dziś dopiero myślę o tem, co ta piękna

pani, która dzieliła miłość swego męża dla wszystkiego co polskie, musiała przeżyć w chwili gdy żołdacka przemoc chciała jej odebrać prawo do najdroższych jej uczuć, dziś dopiero jawi się przedemną żałobna tragiczna sylwetka pani Askonazy i mówi do mnie rozdzierającym głosem tych niezliczonych, których los miała dzielić, tych odartych z wolności,przeszłości, nadziei; dziś dopiero myślę o tej tragedii, przez którą świetna polskość Szymona Askenazego miała jeszcze za grobem zabłysnąć wspaniałym, tragicznym blaskiem. I we wspomnieniu pełnem wzruszenia łączę te dwa piękne dziś już ze sobą połączone cienia.

Jan Lechoń

Boy w Paryżu.

Galówkowa aula paryskiej Sorbony udekorowana palmami zielonych fraków akademickich. Cały ich klomb wyhaftowany jest w środku sali. Fotele ministerialno -dyplomatyczne parteru są protokularnie wysmokingowane i wydekoltowane. Galerie zajmuje inteligencja: urzędowa, snobistyczna i prawdziwa - w zależności od hierarchii pięter. Słowem, żywa ilustracja wyrażenia:"doborowa publiczność w sali wypełnionej po brzegi". Dużą, może nawet przeważającą tego tłumu część stanowią Francuzi. W pierwszej mierze są to "Les Amis de la Pologne", zmobilizowani przez Rose Bailly. Właściwie cała ta uroczystość wogóle jest przedewszystkiem jej osobistą zasługą. Znacznie później, w tragicznej Francji 1940 i 1941 roku okaże się, jak wierną, szczerą i odważną "amie de la Pologne" potrafi być "Różyczka".

Ona więc, "Różyczka", powiedziała sobie, że Francja musi uhonorować Boy'a-tłómacza tylu arcydzieł literatury jej - i że musi to uczynić w sposób bardzo solenny. Komandoria Legii Honorowej, wręczona Boy'owi podczas akademii w reprezentacyjnej auli uniwersyteckiej z apologicznemi przemówieniami ministerialnemi, z udziałem autentycznych akademików, z orkiestrą wojskową, z "Tout Paris"... Tak długo chodziła po rozmaitych kancelariach i gabinetach rządowych, aż wychodziła tę fetę. Zapowiada się jedna z tych śmiertelnie nudnych pił oficjalnych, kiedy człowiek wciąż wodzi ręką od oczu, które same się zamykają, do ust, które nie przestają ziewać.

Zaczyna się akademia. Mechanizm szablonu funkcjonuje z precyzją chronometru. Sztywna, ciężka atmosfera trwa dopóty, dopóki Boy słucha tylko innych i, w milczeniu, kłania się z grzecznem zażenowaniem, dziękując za komplementy. Ale w końcu przychodzi kolej na jego odpowiedź. Debiutuje, przyznać trzeba, źle, wprost fatalnie. Francuzi przemawiali, on zaś czyta, i to monotonnym, cichym głosem stremowanym. Twarz "Różyczki" traci swój promienny wyraz. Czy to rzeczywiście będzie niestrawny banał tuzinkowej ceremonii i nic innego?! Rozlegają się życzliwym tonem wołano:"Plus haut! Plus haut!." Boy podnosi głowę, chrząka i nabiera animuszu. Opowiada historię swojego romansu z literaturą francuską - opowiada biografię swojego najintymniejszego życia wewnętrznego. Daje z siebie coś rzadko cennego: jedną z najbardziej wzruszających i najpiękniejszych spowiedzi pisarskich. Wyznanie to jest przy tym nawskroś francuskie swoją treścią i formą, swoim dyskretnym liryzmem i wytwornym dowcipem, swoją precyzją myśli i lekkością stylu. Audytorium zapomina, że znajduje się na oficjalnej ceremonii w Sorbonie - oklaskuje znakomitego conferencier'a "Zielonego Balonika" w Michalikowskiej Jamie krakowskiej.

Nawet Doumic -"nieśmiertelny" gramatyk, dożywotni sekretarz Akademii, główny celebrant Boy'owskiej uroczystości - przestaje być kościanym dziadkiem i, przez chwilę, śmieje się szczerze.

Rząd francuski odznaczył Boy'a Komandorią Legii Honorowej - to był reprezentacyjny "clou" akademii. To zaś audytorium Sorbony przyznałoby mu, po jego przemówieniu, i gdyby taki tytuł istniał, godność doktora honoris causa intelektualnej kultury francuskiej.

- - -

Typowo francuski "hotel particulier" na Place St.Georges w prawdziwie paryskiej części Montmartre'u. Należy do jednego z "Amis de la Pologne". Zarekwirowany więc został przez "Różyczkę", która w tym pałacyku urządza prywatne przyjęcie dla Boy'a. Honory domu robi, prócz gospodarzy i "Różyczki" Marcel Bouteron, bibliotekarz Instytutu, "papież" balzakistów i świeżo zwerbowany "Ami de la Pologne". Z Polską nawiązał on znajomość przez panią Hańską, żonę swojego najdroższego Balzaka. Entuzjazmuje się jednak Polską dopiero od bliższego zetknięcia się z Boy'em. Zaskarbić sobie sympatię Bouteron'a jest rzeczą łatwą: wystarczy mu potakiwać, kiedy on z przejęciem tłomaczy, że pomiędzy nim a Boy'em istnieje uderzające podobieństwo rysów twarzy. Tak rozkochany jest w swoim nowym przyjacielu. Pojedzie do Polski, będzie miał odczyty w Polsce, napisze książkę o Polsce... Wierzy wreszcie, że bitwę pod Warszawą wygrał Piłsudski a nie Weygand - Weygand bałwochwalczo czczony przez cały Instytut, a więc i przez niego, Bouteron'a. Dla Polski, z powodu Boy'a zdolny jest do takich poświęceń. Mówi o tem z największem przekonaniem. Boy słucha i uśmiecha się - naiwnie, dobrotliwie i...bardzo mądrze. Bo i dla niego Bouteron - to jeszcze jeden powód, żeby szczerze, ale po swojemu kochać Francję.

Ile Bouteron'ów pozyskał Boy dla Polski!... Na zawsze.

- - -

Francuski PEN-Club urządza przyjęcie dla dwuch równocześnie literatów cudzoziemskich: dla polskiego Boy'a i dla hiszpańskiego Ramon'a Gomez'a de la Serna, którego doskonała, z iście paryskim humorem napisana książka o sztuce cyrkowej właśnie wydana została w przekładzie francuskim. Obiady PEN-Clubu już mają swoją ustaloną markę: dobre przemówienia i podłe jedzenie. Cóż dziwnego, skoro Banianin Cremieux, generalny sekretarz PEN-Clubu gospodaruje tak, że menu kosztuje tylko 25 franków, ale deser składa się z mów najlepszych, zazwyczaj pisarzy francuskich i cudzoziemskich. Obiady są "marynarkowe", by nadać im charakter sans-façon'owych i nie-oficjalnych przyjęć. Rzeczywiście, atmosfera bywa czasem intymna.

Solenna piła w Sorbonie zamieniła się, dzięki Boy'owi, na świetny fajerwerk prawdziwie francuskiego "esprit". Poprzedniego wieczora Ramon Gomez dedykował swoją książkę w cyrku, siedząc na trąbie słonia. Gospodarze PEN-Clubowego przyjęcia uważają więc za właściwe dowieść obu cudzoziemcom, że ich... również stać na francuski dowcip. Udaje im się to - ich mowy powitalne na cześć Boy'a i Ramon-Gomez'a są zaprawione bardzo zręcznymi komplementami i sporą dozą szczerego humoru. Podczas każdej przerwy, spowodowanej wybuchami śmiechu i oklasków, Ramon-Gomez coś skrzętnie notuje początkowo na serwetce a późniiej na mankiecie - widocznie przygotowuje odpowiedź. Boy śmieje się smakowicie przy każdym dowcipniejszym zwrocie mowy, macając się jednocześnie po marynarce, jak gdyby chciał sprawdzić wewnętrzną jej kieszeń.

Odpowiedź Ramon-Gomez'a jest tem zabawniejsza, że utrzymana w humorystycznym tonie, odznacza się arcykomicznym akcentem hiszpańskim, umyślnie przeszarżowanym. Dobry numer literackiego kabaretu.

Wszyscy już przygotowują twarze do śmiechu, patrząc na Boy'a,

który wstaje, by z kolei wygłosić przemówienie. Jeżeli potrafił rozruszać nawet akademików, to cóż dopiero powie tutaj... Ale nie znają Boy'a i nie wiedzą, jak paradoksalne niespodzianki lubi on ludziom sprawiać. Ponieważ w uczonej Sorbonie był lirycznym felietonistą, więc w literackim PEN-Clubie jest wielkim erudytą. Przeprowadza wnikliwą analizę historyczną literatury francuskiej, daje krytyczny zarys dziejów myśli francuskiej, wskazuje ogrom wkładu francuskiego w dorobek kultury całego świata. Przejawia imponująco gruntowną znajomość tematu, nie wpadając ani razu w mentorską pedanterię; ujmuje gamę różnorodnych zagadnień w jedną syntezę kompozycyjną, zwracając baczną uwagę na przejrzyste, ścisłe i proste formułowanie swoich tez. Boy wtajemnicza Francuzów w misterium ich własnego geniuszu twórczego. Czyni to z taką wiedzą i zarazem wiarą, że wszyscy ulegają czarowi jego słów. Odnosi jeszcze jeden, zupełnie inny i może najświetniejszy swój triumf.

Kiedy będzie można w Paryżu mówić znów o Boy'u?... x/

Zygmunt St. Klingsland

W a l k a z c i e n i e m.

Dowcipy historyczne - jak nieszczęścia - chodzą parami. Niedawno Niemcy meksykańscy na rozkaz Berlina palili na stosie książki "żydowskiego emigranta" Kraszewskiego, wprowadzeni w błąd długą, czarną brodą polskiego powieściopisarza, z którą zjawił się on w Dreźnie w r.1864, gdy zmusiły go do wyjazdu z kraju represje władz rosyjskich. Drugi dowcip nie dał na siebie długo czekać, bo już kilka dni potem rząd niemiecki zabronił na całym terytorium Rzeszy i krajów okupowanych wykonywania utworów Chopina.

Ignacy Baliński w "Wiadomościach Polskich" nazywa to barbarzyństwem. Nie uważam tej definicji za trafną przez proste odczucie siły pierwiastka komizmu sytuacyjnego i olbrzymiej dynamiki niefrasobliwego humoru w najprzedniejszym gatunku. Walka Gestapo z anemiczną panienką, która na czwartym piętrze kamienicy, powiedzmy: w Frankfurcie nad Menem brząka "cośkolwiek Chopina" jest czemś tak ogromnie wesołem, że śmiech góruje i górować musi nad głębią urzędowego sadyzmu autorów i wykonawców rozkazu. Wojna totalna, prowadzona przez Rzeszę na każdym odcinku życia, zaczyna powoli przybierać cechy offenbachowskie i wkracza w dziedzinę czystego kabaretu. Wyobraźmy sobie bowiem sytuację odwrotną: Kongres dla usprawnienia walki z piątą kolumną uchwala bill, zabraniający grania na terenie U.S.A. fug Bacha, beethovenowskiej sonaty księżycowej lub wystawienia oper Verdiego lub Mascanniego.

Odrzućmy jednak żarty na bok i zastanówmy się nad możliwościami reakcji polskiej pod okupacją na ostatnie zarządzenie niemieckie. Jest jedna i jedyna, bo innej niema. Taka sama jak żywiołów leśnych przed pół wiekiem, gdy ją w bajce "Pieśń litewskich borów" ujął genialną parafrazą Henryk Sienkiewicz:

"Wyszedł raz srogi ukaz do litewskich borów,
Aby nie śmiały szumieć, ni modlić się, ani
Mruczeć inaczej swoich wieczornych nieszporów
Jak na suzdalską nutę: "Boże caria chrani".

\- - -

Wtem wstaje wiatr - i leci od zachodniej strony,
Już padł na górnych sosen wyniosłe korony,

x/ Otrzymaliśmy wiadomość, że wielki pisarz polski Boy znalazł śmierć męczeńską w obozie koncentracyjnym w Dachau.

Mruknęły dęby, trzęsie liściami brzezina:
Słuchajmy! Pieśń się jakaś wśród puszczy zaczyna
I brzmi coraz potężniej między konarami:
"Święty Boże i mocny, zmiłuj się nad nami!"

Nie ulega żadnej wątpliwości, kto zna Polskę i Polaków, że idiotyczny rozkaz ustokrotnił kult Chopina i gdzie tylko uchronił się nieskonfiskowany fortepian lub nawet cała gitara, popłyną dźwięki heroicznych polonezów, skocznych mazurków, romantycznych ballad i nokturnów a majestatyczny marsz pogrzebowy z sonaty B-moll, który tylekroć sotek razy odprowadzał najzasłużeńszych na miejsce ostatniego spoczynku, stanie się może nową Marsylianką w chwili odwetu. Jest to naturalne prawo reakcji zwłaszcza w kraju, w którym na przestrzeni ostatnich dwu wieków - reakcja była zawsze silniejsza od reakcji chwilowych gospodarzy terenu.

Jest jeszcze trzeci aspekt operetkowej wojny z cieniem Chopina: patologiczny podkład tej jedynej w dziejach świata nienawiści, która nie gardzi żadnym środkiem walki, nawet wywołującym uśmiech absurdem gilotynowania melodii. Tym podkładem jest strach. Strach, który chwyta za gardło , ubezwładnia, paraliżuje, strach przed dniem jutrzejszym. Inaczej sobie tego zarządzenia wytłumaczyć nie można. Z niemieckiego punktu widzenia badając metody "psychological warfare" zrozumiałem jest n.p. że masowy kolportaż "Krzyżaków" Sienkiewicza, książki Kisielewskiego "Ziemia gromadzi prochy" czy poezji niepodległościowej nie idzie po linii interesów okupanta, że podnieca do rewolty, przypomina ucisk, jest zarodkiem ideowym ruchu zbrojnego, daje w rękę miecz, że należy się temu kolportażowi energicznie przeciwstawić. Walce z melodią argumentów tych brak. Melodia jest nieuchwytna, lotna, zaraźliwa i staje się symbolem dopiero w chwili, gdy się jej wypowiada wojnę / lub...gdy się jej umiejętnie użyje: piąta symfonia Niemca Beethovena stała się muzycznym odpowiednikiem angielskiego V i z powodzeniem je ilustruje./ Urzędowa proklamacja mistrza z Żelazowej Woli osobistym wrogiem Trzeciej Rzeszy jest - pomijając komizm walki z cieniem - zjawiskiem równie paradoksalnym jak zastanawiającym, bo mimo zdecydowanej antypatii do wszystkiego co niemieckie, zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że hitlerowski aparat administracyjny nie składa się wyłącznie z źrebaków partyjnych, których jedynym wykształceniem jest bicie w mordę słabszego i rabunek. Administracja państwa to nietylko rządy w partii, wymaga ona minimum wiedzy, rutyny, erudycji innej niż ta, na którą stać pedagogów w "Hitlerjugend". Dotychczasowe wyniki wojny a zwłaszcza przygotowanie niemieckie do niej - są wyraźnym ostrzeżeniem, że nie wolno nam niedocenić przeciwnika - zdecydowany sąd mamy jedynie o jego moralności - i dlatego w głęboki podziw wprowadza nas fakt, że w całych Niemczech nie znalazł się choćby jeden człowiek wykształcony i poparty autorytetem partyjnym, któryby nie wskazał autorowi pojedynku 80-milionowego państwa ze zmarłym przed stu laty muzykiem na na cervantesowski komizm pomysłu, nieprawdopodobnego w swym błazeństwie.

W r.1934 na swym dorocznym zebraniu związek młodych czeladników krawieckich w Białymstoku, stojący pod wpływem komunistycznych organizacjizacji bezbożniczych - uchwalił 78 głosami przeciw 14-tu, że n i e m a B o g a. Dużo było w Polsce wesołości z tego powodu ale ostatecznie od tak poważnej organizacji, nie można było wymagać innych uchwał. Tu sprawa jest poważniejsza, bo jest symptomem rozkładu państwa.

Dlatego walka z cieniem Chopina, nieszkodliwa jako zabawa - jest dla nas Polaków zjawiskiem bardzo ciekawym i pouczającym.

Jerzy Tepa

Time bomb. Powieść.
Ciąg dalszy.

-Niech pan...- Sama nie wiedziała, jak powiedzieć to po angielsku, więc pokazała mu, dmuchając silnie przez nos. Z pewnością wolałby teraz wyrzec się papierosa, myślała. Ale innego wyjścia nie miał i musiał skorzystać z okazji.
-Bo widzę, że mu to przeszkadza palić - wyjaśniła poważnie Mrs White choć coraz bardziej chciało jej się śmiać.
-Pięknie, pięknie postępuje pani.
-A mogłabym teraz drania zadusić - odpowiedziała z miłym uśmiechem. Mrs White myślała, że się przesłyszała.
-Co?
-Scisnąć mu nosa a w usta papierosa.
-O Jezu!
-I ogniem do ust, żeby się pomęczył.
-Cicho! Sza! - uspokoiła ją raczej gestem niż głosem przestraszona Mrs Karfunkel.-Przecie może zrozumieć!
-Ja panią chwalę, że postępuje pani, jak prawdziwa chrześcijanka...
-A on mi za to powie "Heil Hitler", zamiast "Bóg zapłać".
Utarcie nosa nie było jednak stosownym środkiem. Stworzyło ono atmosferę przyjaźni i życzliwości. Nawet Mr White, wodzący po wszystkich oczyma i udający kiwaniem głową, że bierze udział w rozmowie, uśmiechał się. Ale i Niemiec uśmiechał się i nie był wcale zawstydzony. Myśli sobie, że Niemka byłaby dumna z takiego zaszczytu usługiwania rannemu bohaterowi, myślała Wanda.
Na dworze zaczęła się jakaś strzelanina. Od chwili już słychać było odległe walenie armat, a teraz dołączyły się do nich bliskie trzaski karabinów. Tego rodzaju kanonadę słyszeli pierwszy raz.
-Co to?
-Czemu tak biją?
-To nasze przeciwlotnicze - stwierdziła z radością Wanda.-Złapali jakiegoś w reflektora! Ja muszę widzieć...
Zgasiła światło i uchyliła zasłonę na oknie. Na dworze było zupełnie jasno. Jaśniej niż w dzień.
-Co to?...
-To taka bomba oświetlająca... Rakieta... Taką samą na mnie na dach rzucił!
-I do tego tak strzelają.
-Żeby zgasić.
-Oj Boże, Boże, Boże...
Patrzeli przez chwilę w milczeniu. Nagie gałęzie drzew wyglądały upiornie w białym, lekko drgającym świetle.
-Niech pani zasłoni okno, bo aż strasznie...
-Bo oni najpierw takie rakiety, żeby wiedzieć w co, a jak widzą to dopiero kruszące!
-Ja także takie! - odezwał się niespodziewanie Niemiec, ożywiony tym widokiem. Wanda zasłoniła okno, zapaliła w pokoju światło i wróciła do niego. Tak wyciągnął wargi do papierosa, że jakoś żal jej się zrobiło tego kaleki.
-A może to pana bomba mi w nogawkę - zażartowała. Nie rozumiał,więc powtórzyła ilustrując ruchami.-Pana bomba tu buch - i pękła - rozdarte-o! - Uśmiechnął się, ale nic nie zrozumiał.
-Ja dostał hit od flak - odpowiedział.
-Po jakiemu on mówi?
-"Flak" to skrót od "Flugabwehrkanone"-wyjaśniła Mrs Karfunkel.
-Ach! Działo przeciwlotnicze!

-Mówi, że dostał pocisk z dołu.
-A bomby miał, jak "buch - w dół - tysiąc metr?" - zapytała go Wanda.
-Nie - odpowiedział.- Bomby już buch, dzięki Bogu.
-Dzięki Bogu już rzucił na nas! - roześmiała się.

Niemiec widząc, że wrogi nastrój znikł zupełnie, zaryzykował z trudem sklecone zdanie.

-Pani Polka to pani mówi niemieckie, nie? - Wanda patrzała na niego z uśmiechem, więc spróbował po niemiecku.-So können wir...
-O nie, nie, nie - odpowiedziała kategorycznie.
- I jemu byłoby łatwiej i pani - zauważyła Mrs Karfunkel.
-Nie - odpowiedziała krótko Wanda i po chwili dodała poważnie.-Mnie byłoby trudniej.

Niemiec posmutniał i zaczął znowu po angielsku.

-Polacy Niemców...więcej jak Anglicy...-zaczął i przez chwilę szukał wyrazu, więc Wanda pomogła mu.
-Nienawidzą? Nie!

Ucieszony, podniósł na nią oczy. Zrozumiała nieporozumienie - myśli że kochają Niemców - więc wyjaśniła dokładniej.

-Teraz już Anglicy nienawidzą was tak samo jak Polacy,dzięki Bogu.

Dodała to "dzięki Bogu" umyślnie. Tak jak on przedtem, mówiąc o bombach. Ale nie zrozumiał żartu.

-Dzięki Bogu nienawidzą - powtórzył i zamyślił się. Mrs Karfunkel zmartwiła się.
-Po co pani...

Bo niech zrozumie, że nikt nie kocha zbrodniarzy! - odpowiedziała ostro, ale była trochę zła na siebie, że tak powiedziała. Spojrzała na Niemca. Spuścił oczy i skrzywił się tak samo jak wtedy, kiedy zabolało go. W jednej chwili znikła cała jej złość. Nie mogła patrzeć na ból. Zerwała się.

-Co? Znowu ręka? Zaraz dam herbaty!
-Nie ręka.
-A co?
-Ja trochę...rozumiem angielski - odpowiedział powoli,nie patrząc na nią.
-O...Zrozumiał, że morderca...- szepnęła przejęta.
-A ja mówiłam!
-Bo nic nie rozumiał, a to właśnie musiał zrozumieć!

Właściwie nic takiego nie zrobiła. Powiedziała tylko to, co wszyscy myślą o Niemcach. Wszyscy kulturalni ludzie na całym świecie.

-Czy ja nie miałam prawa tak powiedzieć?
-Ale nie zawsze trzeba korzystać z prawa -odpowiedziała jej Mrs White.

Oczywiście,że nie trzeba! Wanda sama wiedziała o tym doskonale. Ale należało mu się to. Każdemu Niemcowi to się należy, bo oni sami tak robią. Jedynym prawem jest u nich siła. Więc ona właśnie skorzystała z prawa silniejszego, bo on teraz leży jak kłoda i nie może drgnąć...Postąpiła właśnie tak, jak postępują Niemcy,bo z nimi tak trzeba!

/Dalszy ciąg nastąpi/

Antoni Gwojdziński.

Nakładem "Rój in Exile" ukazał się nowy zbiór wierszy Kazimierza Wierzyńskiego pod tyt:"Róża wiatrów". Skład główny:Polish Book Importing Co.Inc., 38 Union Square, New York, N.Y.

Cena wraz z przesyłką: $ 1.25.

Z powodu braku miejsca recenzję o książce przesunęliśmy do następnego numeru.